

KRAINA POWIEŚCI

BEZPŁATNY DODATEK - WYCHODZI TRZY RAZY W TYGODNIU.

Rok 2

CHOJNICE, dnia 12. XII. 1929.

Nr. 119

Z Bardzkich Anna Karwatowa.

O CHATE

Powieść esnuta na tle stosunków współczesnych.

7)

O, jakżeż trudno było im teraz rozstać się z sobą, teraz, gdy tak dobrowolnie związali się pierścieniem! Uważali się odtąd za bardziej zbliżonych i nawzajem przykutych do siebie pierścieniem na wieki; a za chwil kilka ogromna przestrzeń miała ich rozdzielić na czas tak długi... nieobliczony!

Łzy polały się znów strumieniem. Wpatrywała się w siebie, jak gdyby wyciosać sobie chcieli w pamięci wyraz twarzy, każdy ruch postaci, każdy dźwięk głosu ukochanych osób!

Żeby ulżyć w pierwszym bólu Basi i Leosi, postanowił Walenty wysłać je na kilka tygodni do Grzybowa, bo i staruszka Motkowa stęskniona była za wnuczką a i powietrze wiejskie potrzebne było tak Basi jak i Leosi. Dniami całymi pracowały w szwalni bez ruchu i powietrza świeżego, pobladły znacznie i męczyły się łatwo. Wieś miała zaradzić złemu. W pomoc pomysłowi Walentego przyszła sama pani Pączkowska, prosząc Basię i Leosię, żeby przybyły szyć wyprawę dla córki. Basia i Leosia znalazły się więc znów w Grzybowie, lecz przed wyjazdem zapewniły sobie miejsce w szwalni i mieszkanie u dobrej opiekunki Koziółczykowej.

Państwo Pączkowscy i ks. proboszcz nie mogli dosyć nacieszyć się Basi i Leosi; tak były dobrze wychowane, że przypuszczono je całkiem do towarzystwa rodzinnego, dając tem samem dowód uznania dziewczętom za pracę ich nad sobą i gorące chęci kształcenia się.

— Do czego to dobra wola i wytrwałość doprowadzić mogą! — mawiał nieraz pan Pączkowski, podziwiając ruchy i odezwanie się Basi i Leosi.

— A jakie one ładne! szlachetność tryska z ich ocz! — mówiły panny Pączkowskie.

— Wiedza i zacne uczucie uszlachetniły wyraz ich twarzy. W duszy, sercu i umyśle zaszła przemiana, a oczy są zwierciadłem duszy — tłumaczyła pani Pączkowska.

Podobnie nieraz rozmawiano o Basi i Leosi we dworze, lecz na wsi odzywały się po chatach inne zdania:

— Panny! panny! jakie zgrabne! jak się stroją! Ba, po francusku i angielsku mówią i grają na fortepianie! W głowie się przewróciło!

Tak przeważnie mówili Wróblikowie. Inni znów zachwycali się Basią i Leosią, a zwłaszcza młody Sum Kazimierz, chłopak dziarski i ładny i dobrze ogładzony, syn nabywcy gospodarstwa po Dąbkach. Bronił on nieraz dziewczek, gdy wieś zarzucała im, że zbyt się stroją:

— Nie stroją się, tylko porządnie i czysto się ubierają, a że umieją krój i szycie i są zręczne,

to i same sobie wszystko zrobią, bez wydawania pieniędzy.

— Podobają ci się, więc ich bronisz! — wymawiała Kazimierzowi wiejskie dziewczęta — ale one na ciebie nie spojrzą, bo już mają pierścienie na palcach!

— Spojrzą, czy nie spojrzą, ale lubię je i bronię, bo zasługują na to — szepnął młodzian podrażniony, a w myśli kończył:

— Cóż ztego, że pierścień na palcu? Serce zwrócić się może do innego! Rozmaicie się dzieje — spróbuję! — Obydwie podobały się Kazimierzowi; przyglądał im się nieraz z uwagą i zastanawiał, która z nich ładniejsza? Leosia, bruneta, tyle miała życia! A Basia, blondynka, tak patrzała słodko!

Zjawił się też wkrótce Jan Mrozek w Grzybowie, pod pozorem odwiedzenia Kazimierza, lecz bezustannie spoglądał w stronę dworu, bo ciekaw był zobaczyć na własne oczy tę gwałtowną przemianę u dziewcząt. Spotkał się wreszcie z niemi u Rychlika, którego Basia, jako przyszła synowa, odwiedziła w towarzystwie Leosi. Zrobiły one na nim wrażenie tak gwałtowne, że nie śmiał się do nich zbliżyć. Stał cichutko w kącie, oczy wytrzeszczał, usta opuścił i patrzył, nie mogąc wyjść z podziwienia. Basia z Leosią zabawiły krótko i wyszły. Jan pożerał je oczyma i wzrokiem odprowadził daleko na drogę, aż znikły na skraj, wreszcie ocknął się, spojrzał na Rychlika i zawołał:

— To już nie mleko — jeno śmietana! — i począł się oblizywać i mleć językiem, jakby śmietankę prawdziwą miał na podniebieniu.

Stary Rychlik wziął się aż za boki, tak śmiał się z Jana:

— I ty, bratku, widzę, zgłupiejesz niedługo! Kazimierz już zwarjował! ale za późno!... za późno!...

— Jam przecież dawno o Basi myślał — tłumaczył się Mrozek

— Widzisz, ona jeszcze dawniej, bo od lat dziecięcych, polubiła Stefana. Ze Stefana też będzie dobry człowiek i pracowity przemysłowiec, a wszystko zawdzięcza Basi bratu, Walentemu. Dopóki Stefan był małym, nie tyle obiecywał, ale przykład dobry porwał go! W kuźni, razem ze Stefanem, pracował u mnie mały Walek Dąbek, a chłopczyzna miał już wtedy wielką moc duszy i za chęcią towarzysza do dobrego. Odtąd polubili się obydwa i zawsze pracują razem. O, wiele, wiele winien jestem Walentemu, bo też to dzielny młodzian z niego! Wszystko łatwo zrozumie, bo zastanawia się, a drudzy nic nie widzą, prócz własnego nosa przed oczami! — Tu Rychlik wydobył dwie butelki piwa z zasklonej szafki i rzekł wesóło:

— No, Janie, teraz wypijemy po szklance piwa za zdrowie młodych par, Basi i Stefana, Leosi i Walka.



— Napić się możemy — mówił spokojnie Jan — ale czy to z nich jeszcze pary będą, nie wiem! Pojechali gdzieś za morze, na lat parę... pytanie, czy wrócą i kiedy wrócą?

— Nie pleć! bo zazdrość przez ciebie mówi!

Mrozek sposepniał, posiedział jeszcze chwilę u Rychlika, wreszcie skierował kroki swoje ku chacie Kazimierza. Dwaj młodzieńcy rozsiedli się na ławce w ogródku i sprzeczać się poczęli, która z dziewcząt ładniejsza. Mrozek zawsze wiernym był Basi, a Kazimierz to zachwycił się Basią, to znów Leosią. Ciężko im było obydwom pogodzić się z myślą, że ani Basia, ani Leosia do nich należeć nie będą, więc poczęli się pocieszać:

— Ha! — mówił Jan — morze nie ma dna!

— A w morzu są wieloryby! może ich tam połkną!

— Chyba rekiny! — zaśmiał się Mrozek.

— Burza może rozbić okręt!

— Umieją dobrze pływać obydwaj.

— Ale morze wielkie... największy siłacz nie wytrzyma.

— Czasami i w fabrykach nieszczęście się sta nie — kotły pękają!

— A tak, i ręce i nogi urywają!

— Ba, niejedni i całkiem się ugotuje w kotle!

— I to się zdarzy.

— Wychodźcie, widzę, na czyjaś szkodę! — przerwał rozmowę młodym stary Sum — ale i wy z konia lub woza spadając, karku sobie możecie nakreślić! Śmierć każdego znajdzie i na równej drodze! — Sum stary stał oparty o chatę i domyślił się z rozmowy młodzieńców, o co im chodzi. I jemu podobały się wychowanki dworskie, ale będąc skąpym i chciwym na grosz, obmyślił sobie inną synową, Antosię, córkę osadnika Pluga z sąsiedniej wioski. Osadnik Plug również był zamożny jak Mrozek.

— Mógłbyś odprowadzić Jana — odezwał się Sum do syna — i odwiedzić Plugów.

— A mogę, ale...

— No, no, żadne ale! Pozdrów ich ode mnie i zaproś do naszej chaty. — Powiedziawszy to ojciec, wyszedł w podwórze, a syn smutnie zwiesił głowę.

— Co ci to, Kazimierzu? — pytał Jan troskliwie.

— Chcą mię zmusić do Antosi!

— Wcale szkodna!

— Jeżeli szkodna, to ją sobie bierz! a będę z duszy rad!

— No — nie — bo — widzisz — jakaś się Mrozek.

— Widzę, że i ty nie chcesz, coś od niej ludzi odstrasza.

— A tak — mówią, że w chacie brudno, że sukienki jej nie świecą czystością, jak u kwiatka na łące.

— A widzisz! I ja wolę kwiat bieluchny!

Gdy tak Kazimierz z Janem rozmawiali, Basia z Leosią były także w dworskim ogrodzie i po raz trzeci odczytywały listy Stefana i Walentego. Pisali z Hamburga i zachwyceni byli widokiem portu, który potężne sprawia wrażenie na podróżnych. Przepełniony cały okrętami, parowcami, berlinkami i łódkami, najeżony lasem masztów większych i mniejszych, syczy parą z kominów okrętowych i wre życiem i ruchem niepospolitym tak na brzegu, jako i na okrętach. Plusk Łaby (Elby), gwar ludzki, syk i ryk machin parowych, złączone w całość, dziwny sprawiają zamęt głosów i szmeru, męczący wprawdzie, lecz wspaniały! Brzeg portu jest obmurowany, a groble te nazy-

wają się „molo“ i „quais“. — Wzdłuż tych grobli pomieścić można 160 parowców. W miejscu, gdzie dziś ładują na okręty, mieszkało kiedyś 13000 ludzi. Wspaniałe są też śpichrze hamburskie, wzniesienie ich kosztowało 120 milionów marek.

Walenty zawsze w listach swoich wspominał o wszystkim, co kształcić mogło Leosię i Basię. Stefan opisując szczegółowo okręt dodał:

„Niezgorsze mamy kajuty, małe wprawdzie, ale znaleźliśmy w nich, co nam konieczne tu potrzebne: łóżka wiszące, szafki, krzesła, stoły; wszystko przytwierdzone mocno, do wiecznie kołyszącego się okrętu. Karafkę i szklanki umieszczono w głębokich ramkach, dobrze umocnionych stół mamy pokratkowany w listwy podnoszące się, żeby nakrycia nie spadały. Pokład okrętu w części zasłonięty jest płótnem od skwaru; na nim urządzono wygodne siedzeniadła podróżnych. Koło mostu kapitańskiego, na okręcie, widać łodzie ratunkowe, pokryte płótnem żaglowem.

Oby one nam tu nigdy nie były potrzebne! — pisał dalej Stefan. — Wolę umierać w moim kraju, w skromnej chatce, aniżeli tu, na tem morzu wspaniałem! a jeszcze bez waszych życzliwych spojrzeń! — Często myślimy i mówimy o was, a zwłaszcza, gdy noc zapadnie, a niebo zaiskrzy się gwiazdami, to i dusza rwie się w dal! — Tu znów był przypisek Walentego:

„Fotografje wasze nosimy przy sobie, a gdy tęsknota nas pożera, wyjmujemy je z notesu i przypatrujemy się waszym twarzyczkom, pełnym dobroci i słodyczy. O kiedyż się znów zobaczymy?

— Gdzież oni dziś być mogą? — pytała Basia Leosi, ocierając łzy ukradkiem.

— Może w Antwerpii? — odpowiedziała Leosia, rzucając tęskne spojrzenie — wszak tam miał się okręt zatrzymać?

I odgadło dziewczę: Okręt „Aleksander“ popłynął z morza Niemieckiego rzeką Skaldą i zatrzymał się w Antwerpii. Tu zjawili się urzędnicy celni, władze portowe i sanitarne, przejrzano wreszcie papiery i okręt przyjęto.

Antwerpja podniosła się znacznie od czasu założenia królestwa belgijskiego, od roku 1830. Mieszkańców liczy 233000, a przemysł kwitnie rozmaity: są fabryki koronek, wyrobów jedwabnych, tkanin bawełnianych, szlifiernie drogich kamieni itd. Port ten belgijski należy do najważniejszych portów świata, a chociaż oddalony jest od morza o 80 kilometrów, największe statki przyjąć może, bo koryto Skaldy tu jest głębsze, niż Tamizy w Londynie. Wzdłuż grobli port pomieścić może 50 wielkich parowców. Miasto piękne ma położenie, dużo posiada pamiątek historycznych i wspaniałe zabytki sztuki. W muzeum i galerjach króluje Rubens, najslawniejszy malarz flamandzki (belgijski); ilość jego obrazów zadziwia, zbiór samych fotografij dzieł jego zajmuje pięć sal. Piotr Paweł Rubens urodził się w roku 1577, umarł 1640 roku. Najstarsze dzieło obraz „Zdjęcie z krzyża Chrystusa“ jest w Antwerpii, w katedrze. Podziwiał ten obraz Walenty i Stefan. Z Antwerpii wysłali listy do Grzybowia i nacieszyć się nie mogli pięknociom miasta.

„Kochana Basiu“, — pisał Walenty do siostry — o, gdybyś ty widziała cudny ten obraz w katedrze, pojęłabyś od razu, czym jest arcydzieło malarzkie! Co tu życia i prawdy w każdej postaci, a postacie te tak piękne i wzniosłe! Chciałbym kiedyś widzieć i naszych mistrzów dzieła! Znam wprawdzie Matejki obrazy, Siemiradzkiego, Fała

ta, Brandta. Kossaka, ale tylko z ilustracji, umieszczonych po pismach. — Prezes naszego towarzystwa miał kiedyś rozprawę o malarstwie polskim i przyniósł nam dużo ilustrowanych pism, żeby nas oświecić i zapoznać ze sztuką. Wdzięczny mu za to jestem i umiem dziś pracę jego cenić. Wspominał następnie Walenty, że kapitana na okręcie mają bardzo przyjemnego i przystępnego. Kawał już świata zwiedził w swoich ciągłych podróżach i niejedną mógł im służyć radą.

Młodego fabrykanta, Leopolda Minda, jadącego do Nowego Jorku, obchodziło każde koło, każda, choć najmniejsza śruba na okręcie, stąd często zwracał się do Walentego i Stefana, którym pozwolono pracować przy maszynach pod okiem doświadczonego maszynisty. Uprzejmość ich, gładość, swoboda, jednala im serca tych, z którymi jakakolwiek mieli styczność.

Szczególniej polubił ich ów młodzieniec, syn milionera.

Walenty, wrażliwszy od Stefana, tęsknił nie wymownie za krajem, rodzinną wioską, Basią, Leosią i wszystkim co opuścił. Stefan mniej ulegał tym uczuciom i gdzie tylko nadarzyła się sposobność, rozpytywał o stosunki w Nowym Jorku, o wielkich fabrykantów, kapitalistów itd. Zrozumiał, że trzeba zebrać wszystkie siły, wyzyskać wszelkie okoliczności, aby przez świat się przebić.

— Zanim dopłynęli do Nowego Jorku, przeszli jak to nieledwie wszyscy podróżujący okrętem przechodzą, burzę morską. Chociaż Walenty i Stefan stać musieli na stanowisku i pilnie śledzić każdy ruch dyszącej maszyny, tak że czasu nie było ani na spoczynek, ani na pokrzepienie się, to jednak stęsknione serca, drżąc z obawy przed grożącym niebezpieczeństwem, zapowiadającym nagłą śmierć w rozrukanych falach morskich, szukały sobie wyjścia — ulgi — i znalazły ją przez myśl. Ona gwałtem się przedarła przez olwiane chmury i szalone wichry, by podążyć w dal. Więc najpierw wzbila się pod strop niebios.

Wicher wył i ciskał z wściekłością bałwany na pokład okrętu; grzmot huczał, błyskawica rozdzierała czarne łono chmur, pioruny przeszywały powietrze ognistymi węzami! A chociaż to niebo tak było groźne i straszne, nasi dwaj młodzieńcy wiedzieli, że tam — w górze, mieszka Ojciec najlepszy, a zarazem potężny Władca na lądzie i morzu, ten, co uspakaja burze morskie jednym słowem, więc też zwrócili się do Niego z pokorą:

— Boże! ratuj nas, bo zginiemy — zawołał Walenty, wznosząc w górę oczy swoje.

— Jezuu, zmiłuj się! — wzdychał Stefan.

Zasilona myśl tem krótkim, lecz szczerem westchnieniem, dążyła w strony ojczyste, do swoich.

— Czy też jeszcze zobaczę ojca i Basinkę drogą?! — pytał sam siebie Stefan, załamując ręce.

— O, jak ciężko mi będzie umierać — tu — bez was, Basiu i Leosiu! Któż wami się będzie opiekował, biedne sieroty? — biadał Walenty błędąc — Stracona chatynka, stracona, już jej nie ujrze nigdy!

Burza szalała przez trzy dni, cała załoga okrętu była tak znużona natężoną uwagą i straszną obawą o życie, a zarazem oszołomiona hukami fal morskich, że zaledwie na nogach utrzymać się mogła, tembardziej, że bałwany miały okrętem na wszystkie strony, to podrzucając go w górę, lub też zagłębiając w nurty, bawiły się nim, niby dzieckiem piłką. Wreszcie burza powoli się uśmie-

rzyła. Obecni odetchnawszy po wrażeniach, spojrzeli po sobie: twarze ich były blade, znużone, oczy zapadnięte, podkrążone sinemi obwódkami w spojrzeniu drgała jeszcze bojaźń i troska, a ruchy były chwiejne, szaty wilgotne i brudne.

— O, jakie to ciężkie były chwile! — westchnął Walenty zwracając się do kapitana.

— Mogłyby się były stać o wiele cięższymi! — zawołał kapitan. — Patrzcie, jak blisko jesteśmy tej strasznej skały, najeżonej ostreimi grzbietami! — tu wskazał ręką w stronę, gdzie przesłonięta lekką mgłą, zarysowała się wyraźnie wysoka, sina, kamienna ściana. — Gdyby nie łaska Boska — mówił dalej kapitan — to jedno silne wstrząśnienie wichru byłoby okręt rzuciło na skałę i zgruchotało go w kawałki! Bylibyśmy wtedy rozbitkami, ratującymi się na łodziach raczej ginącymi w nurtach spienionego morza! Mało kto ujdzie z życiem przy rozbiciu się okrętu zamieszanie jest zbyt wielkie! Obawa przed śmiercią odbiera rozbitkom krew zimną; tłok, ścisk, gubi wszystkich, nawet tych, co już siedzą w łodziach ratunkowych i sądzą, że są bezpieczni. Jedni wyrzucają drugich i ciężarem swoim przewracają łodzie!

Nasi podróżni przekonali się także, że prócz rozbicia się o skałę, jeszcze inne groziły im niebezpieczeństwa. Chociaż okręt był nowy, burza nadwyrężyła lewą ścianę nawy, więc łatwo mogła się była woda dostać do wnętrza. Zabrano się też zaraz do koniecznej naprawy, a skoro mgły opadły, spostrzeżono w pobliżu okręt inny, kołyszący się w miejscu.

— Oto towarzyszy naszej niedoli — rzekł kapitan, wskazując na okręt — ale towarzyszy dla nas groźny! Cóżby to było się z nami stało, gdybyśmy się byli spotkali na rozrukanej morzu? Bylibyśmy już dziś smacznym kąskiem dla raków morskich, które z lubością żwwią się trupami i padliną. Spotkanie mogło być bardzo łatwo nastąpić; szum wichru, huk bałwanów i gromów tak był potężny, że najsilniejsze sygnały nikły w przeraźliwym głosie wzburzonych żywiołów. Więc chociaż nawzajem dawaliśmy znaki stojąc w miejscu, nie wiedzieliśmy o sobie nic zgoła! Jeżeli kiedy, — kończył kapitan — to właśnie podczas burzy na morzu życie ludzkie wisi na włosku, a ten włoszek spoczywa w wszechmocnej dłoni Stworzyciela!

Walenty z wielką przyjemnością słuchał zaw sze opowiadań kapitana, bo kapitan Nibler posiadał to, na czem i Walentemu nie zbywało. Kapitan był uczuciowy, wrażliwy, miał duszę w sobie! Jaki to duszę? Każdy człowiek ma duszę przecie! Każdy ma wprawdzie duszę nieśmiertelną w sobie, ale ta dusza u wielu nic nie widzi, nic nie słyszy, nic nie myśli, a przedewszystkiem do niczego wyższego nie dąży! Ta dusza nie tęskni za czemś szlachetniejszym tu na ziemi, nie rwie się do krajin niebieskich, gardzi zasługą tu i tam, woli spać jeść, pić — słowem, dusza pogrążona jakoby w letargu, a tylko ciało odzywa się z swojemi potrzebami.

Walek będąc jeszcze małym chłopcem, wołał już patrzeć na niebo haftowane gwiazdami srebrnymi, chociaż mroźny i ostry wicher północny miał delikatną dziecięcą twarzyczkę, aniżeli siedzieć przy ciepłym kominie, buchającym jasnym płomieniem. Latem zrywał się rano do pracy i z lubością przysłuchiwał się śpiewom budzącego się pactwa. W dni Pańskie, niedziele i święta, pilnie służył Stwórcy swemu, uczęszczając regularnie do domu Bożego, gdzie z przyjem-

nością słuchał nauk pasterza i dziecięcy i miły głos swój łączył z głosem rozśpiewanego ludu. Mali towarzysze Walka najczęściej w niedzielę gromadnie szli nad staw srebrny, uwieńczony bujną i szeleszczącą trzcina, tam nadziewali biedne robaczki na haczyki wędek i zatapiali je z chciwością w głębię wody, mącąc spokój Boży na ziemi. Walek wiedział, że w dni świąteczne przed południem tysiące i tysiące dusz wznosi się do Pana na skrzydłach modlitwy i chciał z tłumem tym płynąć razem myślą. — A dlaczego to wszystko czynił Walek? Bo dusza jego tęskniła do Stwórcy swego i rwała się do Pana nad pany, szukała Go w naturze, szukała Go prze pracy i w domu Bożym, bo w Nim poznała i przeczuła odwieczne Dobro. Dusza panowała w Walku, a ciało musiało jej służyć i jej słuchać.

W następnym liście do Basi i Leosi zastanawiał się Walek nad burzą morską:

„Okropna była to burza! O jakże nierozsądni są ludzie, którzy lekkomyślnie opuszczają rodzinne strony, bez koniecznej potrzeby. Gdyby znali niebezpieczeństwa podróży za morze, niejednenby nie porzucał własnej chaty, nie wyzbywał się ziemi kochanej, aby gonić za nieuchwytnym szczęściem.

Leosiu i Basiu, jakżeż mi tęskno za wami? Tęsknię za wami, bo jesteście łagodne i białe macie duszyczki, jak anieli w niebie — i dlatego było nam dobrze z wami! A dziś?... Jesteśmy otoczeni chmurami i mgłami, a niema około nas słodkich uśmiechów waszych i ciepłych spojrzeń, niema na szego słoneczka! niema! Na próżno wiodę okiem po szerokiej przestrzeni, nie widzę nawet na pociechę ni chat, ni drzew, któreby mi przypomniały rodzinne strony, a gdyby nie obecność Stefana na okręcie, nie usłyszałbym nawet dźwięku ojczystej mowy!”

Leosia i Basia popłakały się serdecznie nad listem Walka, kochającego tak gorąco wszystko, co się wiąże z rodzinną ziemią.

I Stefan wspominał w liście swoim, że Walenty chwilami bardzo jest przygnębiony, tak, że wszyscy o to go zaczepiają, zwłaszcza kapitan i młody fabrykant, Mind, flamandczyk. — „Zdaje mi się — pisał Stefan — że młody Mind bardzo się nami zajął, bo ciągle nas wypytuje o pobyt nasz w Ameryce, o plany na przyszłość; a skoro się dowiedział, że jesteśmy przyjaciółmi i pochodzimy z jednej wioski, podał nam rękę, uściśnął dłoń naszą i zawołał:

— Jakżeż to pięknie, że tak się kochacie i razem dążycie do chleba!

Widziałem potem, że długo rozmawiał z kapitanem przyciszonym głosem, że spoglądał na nas z zaufaniem i dobrocią i że nawet wymienił nazwiska nasze z nawisk., jakby chciał nam dać poznać, że mówi o nas, ale mówi życzliwie, więc się nie tai”. — Listy Walka i Stefana przysły razem z listami późniejszymi, pisanymi z Nowego Jorku.

Przeczuca moje spełniły się — pisze Stefan — zacny młody Mind umieścił nas za wpływem swoim w słynnej fabryce machin w Nowym Jorku, gdzie i sam doskonalić się będzie przez cały rok pobytu swego w tem mieście. Nieźle, jak na początek, jesteśmy płatni, a z każdym miesiącem dochód się podniesie, — skoro okazemy się zdatnymi. Walkowi rokuje przyszłość, bo jest przemysłny, akuratywny i wytrwały. No, przecież i dla Basinki mojej chleb będzie i dla mnie, leniucha; nie mam wprowadzić tej wytrwałości, co Walek, lubię

trochę popróżnować, ale sadzę się już na to, iżby pójść śladem przyjaciela”.

Walenty opisywał siostrze i narzeczonej Nowy Jork: „Ogromne to miasto portowe, — pisał — liczy 2 000 000 (miliony) mieszkańców, a z pobliskimi miastami, które tworzą z niem całość ma więcej niż trzy miliony; do nich należą głównie: Brooklyn, Jersey City, Hoboken, Newark, New Brighton. Z Brooklynem Nowy Jork (New York) połączony jest mostem bardzo długim, mającym 1800 metrów. Nowy Jork jest obok Londynu głównym siedliskiem handlu świata; port, po rozsądzeniu skał, należy do najobszerniejszych i najbardziej zacisznych. Miasto leży na wąskim półwyspie, utworzonym przez rzekę Hudson i cieśninę, oddzielającą ląd od wyspy Long Island. Jest to największe miasto Stanów Zjednoczonych Północnej Ameryki, otoczone siecią kolei i dróg morskich. Rzeką Hudson łączy Nowy Jork zapomocą kanałów z jeziorem Kanadyjskimi i rzeką Ohio. Cenną pamiątką i ozdobą miasta portowego jest latarnia morska, dar Francji, przedstawiająca posąg „wolności“ (46 metrów wysokości). Polaków jest w Nowym Jorku 6000, ale żydów polsk. i rosyjskich 10000. Mamy tu kościół św. Stanisława, patrona polskiego i dom dla opieki nad przybywającymi emigrantami, i pisma polskie, ale to wszystko nie zastąpi nam naszych stron ojczyстых! Tęsknota za niemi trawi nas dniem i nocą, i sypiać nie daje, a zaledwie człowiek zdrzemnie się na chwilę, z przerażeniem budzi się i rano wita ciężkim westchnieniem: „W Ameryce! tak, w Ameryce jestem niestety! W Ameryce pośród obcych i obojętnych mi ludzi! — Nie pojmuję doprawdy naszych braci, którzy na zawsze rzucają swoje kąty ojczyste, żeby oddychać gdzieś za morzem innym powietrzem, żeby patrzeć łzawymi oczyma na obce twarze, żeby przyzwyczajając się do odmiennych obyczajów, stosunków, żeby nie słyszeć ukochanego języka ojczystego i tym językiem, którym poisz ucho od kolebki, chórem, z całym tłumem nie wznosić modłów do swego Stwórcy! Po cóż ci ludzie tak dobrowolnie skazują się na męki, które zowią tęsknotą za krajem? — Mam w Bogu nadzieję, że może po dwóch latach już powrócę do kraju, a jednak, jednak szaleję z tęsknoty! — Pyszne są tu domy, wielkie, olbrzymie nawet, ale one mi nie zastąpią przynajmniej naszej chatynki, która się wali, która nawet dziś już nie jest naszą, ale mi tak drogą i miłą, że chociaż z gruzów, to dźwignąć ją i nabyć muszę! A potem, oby mi Pan Bóg pozwolił chociaż go dzinę z wami, Basiu i Leosiu, spędzić pod ukochaną strzechą! O droga to chatka, kiedyż ona będzie moją?!”

Tak pisał Walek, a w każdym jego liście tyle było uczucia, tyle przywiązania do osób drogiego i do dawnych swoich kątów, że proboszcz i pp. Pączkowscy stawiali Walka za wzór miłości synowskiej do tej ziemi, która go wydała i wychowała, Rychlik, kowal, czytywał nieraz listy Walentego i Stefana głośno w niedzielę, w gospodzie Grzybowskiej, ku zbudowaniu ludzi. Mężczyźni słuchali tych listów z uwagą, ale tęsknoty Walka pojąć nie mogli; więcej rozumiały ją kobiety!

— Chi, chi, chi! — śmiał się młody Sum — tęsknią, bo zostawili tu miłe sercu dziewczęta, Basię i Leosię!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Drukiem i nakładem drukarni „Dziennika Pomorskiego” w Chojnicach.